



Walery Przyborowski

Zdobycie Sandomierza

Armoryka

Walery Przyborowski
Zdobycie Sandomierza

Walery Przyborowski

Zdobycie Sandomierza

(rok 1809)

Armoryka
Sandomierz 2010

Tekst: Walery Przyborowski (1845-1913)

Redaktor: Władysław Kot

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: Brama Opatowska w Sandomierzu
Foto Elżbieta Sarwa

Tekst książki według edycji:

Walery Przyborowski
ZDOBYCIE SANDOMIERZA
Warszawa 1912

Pisownię uwspółcześniono w minimalnym zakresie

Copyright © 2010 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel 15 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-62173-51-8

ROZDZIAŁ I

*w którym Kubuś przekonuje Ferdzia von Lausitza,
że w każdej legendzie mieści się częśćka prawdy*

Śliczny, słoneczny dzień zajaśniał w Sandomierzu dn. 13 maja 1809 r. Była to niedziela, więc Kubuś Królikowski, zwany zwykle przez kolegów Kubkiem, Królem albo Królikiem, chłopiec liczący około szesnastu lat i uczeń ostatniej klasy szkoły miejscowej wybrał się wczesnym rankiem na przechadzkę. Bo jakże nie skorzystać z prześlicznej pory majowej, nie pójść nad Wisłę albo na Góry Pieprzowe, nie zachwycać się świeżym powietrzem, słońcem, uroczą młodą zielonością, zwłaszcza gdy się grało w zielone z kuzynką Jadzią, do której rodziców był Kubuś zapraszany stale na obiady we wszystkie niedziele, i trzeba było mieć niezwiędłą gałązkę bzu lub koniczyny, bo to był warunek gry nieodzowny. Wyszedł tedy Kubuś koło godziny ósmej rano na rynek sandomierski i rozglądał się dokoła, rozmyślając, gdzie urwać bzu lub znaleźć koniczynę, by idąc na obiad do kuzynów Białkowskich mieć zielone, świeże i niezwiędłe, bo kuzynka Jadzia była pod tym względem nieubłagane wymagająca. Stał więc Kubuś wahając się, czy udać się nad Wisłę czy na -Góry Pieprzowe, gdy nagle z tyłu uderzył go ktoś w ramię i ozwał się głos: - Nu, Herr Kubek, nad czym tak rozmyślasz?

Kubuś żwawo się odwrócił i ujrzał przed sobą swego kolegę szkolnego Ferdynanda von Lausitza, syna cesarsko-królewskiego radcy dworu, który w Sandomierzu stał na straży całości i nienaruszalności władzy Jego Apostolskiej Mości, Cesarza Austriackiego Franciszka Pierwszego. Kolega Ferdynand von Lausitz był to chłopak niski, na

swój wiek może zanadto otyły, ubrany z wyszukaną elegancją, z oczami chytrymi i biegającymi niespokojnie. Urodzony i wychowany w Sandomierzu mówił wprawdzie po polsku, ale lubił wtrącać do rozmowy wyrazy niemieckie, a nade wszystko dumny był z dygnitarskiego stanowiska swego ojca, który przecież za pan brat żył z komendantem miejscowej załogi, generałem-lejtnantem von Egermanem. Ferdynand pomiałał Polakami, szydził z obyczajów i zwyczajów polskich, starał się wyróżniać wśród swoich kolegów. Toteż nie lubili go oni wcale i unikali, o ile mogli, wszelkich z nim stosunków, zwłaszcza że był złośliwy, nieuczynny i o wszystkim, co się działo w szkole, gadał ojcu, z czego nieraz bardzo przykre wynikały historie. Potajemnie nazywano go szpiclem, co według cesarsko-królewskiej i apostolskiej nomenklatury oznaczało po prostu szpiega. Kubuś nie znosił Ferdynanda von Lausitzu i nieraz ścisnął pięści, słuchając jak ten szwarcgelber wyśmiewał się z Polaków i cesarza Napoleona, jak zapowiadał głośno, że tylko patrzeć, gdy tego Korsykanina żołnierze austriaccy przyprowadzą okutego w kajdany do Wiednia.

Zwłaszcza w ostatnich czasach szwarcgelberowski szpicel rozpuścił strasznie swój język z powodu wojny, jaką Austria wydała Księstwu Warszawskiemu. Głosił więc, że arcyksiążę Ferdynand, dowódca korpusu austriackiego, zniósł za jednym zamachem to księstwo, a księcia Józefa jako buntownika wsadzi do fortecy. Księcia Józefa Poniatowskiego dlatego nazywał buntownikiem, bo niegdyś służył on w wojsku austriackim. Wczoraj zwłaszcza w szkole szpicel rozpowiadał, że przyszły urzędowe wiadomości, iż arcyksiążę Ferdynand rozbił, zniósł i zniszczył doszczętnie armię polską pod Raszynem, zajął Warszawę, i - dodawał Ferdzio - polski bunt (bo dla niego istnienie Księstwa Warszawskiego i wojska polskiego było buntem) raz na zawsze zostanie stłumiony. Polscy koledzy szpicla nie mogli zaprzeczyć tym złowrogim słowom, bo nie mieli żadnych wiadomości o tym, co się właściwie dzieje tam, koło Warszawy, gdyż nadęty i wyprostowany, jakby kij połknął, generał-lejtnant von Egerman nie dopuszczał do Sandomierza żadnych gazet i żadnych nowin. Ogłaszał tylko co parę dni przez plakaty przyklepione na rogach ulic i pisane w prawomyśl-

nym cesarsko-królewskim języku, że uzurpator Napoleon został pobity na głowę i ścigany jest przez dzielne, waleczne wojska Jego Cesarsko-Królewskiej Apostolskiej Mości, że arcyksiążę Ferdynand na miazgę zgniótł buntownicze „bandy” polskie pod „Raschin” i zajął Warszawę.

Słuchano więc w milczeniu słów szpicla, ściskano zęby i pięści, ale nikt nie mógł mu powiedzieć; kłamiesz! - bo nikt naprawdę nie wiedział, jak się rzeczy w istocie mają. Toteż i teraz Kubuś, ujrzawszy przed sobą nieznośnego, czarno-żółtego szpicla, skrzywił się, jakby mu kto na odcisk nastąpił, i na jego pytanie odrzekł, że o niczym nie myśli, sądząc, że tą obojętną i chłodną odpowiedzią pozbędzie się niepożądanego towarzystwa.

Ale ten ani myślał go opuszczać.

- Wiesz co? - rzekł. - Mam ochotę się przejść. Taki śliczny dzień.

A chciałbym też coś zobaczyć. Powiedziałbym ci coś, żebyś mnie tylko nie zdradził, bo to wielka urzędowa tajemnica.

- Wiesz o tym dobrze, że ja nikogo nie zdradzam, twoją zaś urzędową tajemnicę zachowaj dla siebie, jam jej wcale nie ciekawy.

- Ale, bo ty nie wiesz... a zresztą, powiem, bo cię to może przekona, jakie straszne rzeczy działy się dawniej w tym kraju pod rządami polskimi.

- Znowu jakaś niegodna plotka!

- Wcale nie plotka. Jeżeli pójdziesz ze mną, przekonasz się naocznie.

- Cóż to takiego? - zapytał Kubuś istotnie zaciekawiony.

Ferdynand von Lausitz nadął się jak pęcherz, obejrzał się dokoła, a wzięwszy Kubusia pod ramię, pociągnął go na bok i z miną tajemniczą, półszeptem począł mówić:

- Zapewne uważałeś od paru dni, jakie tłumy waszego dzikiego chłopstwa kazał spędzić generał-lejtnant Freiherr von Egerman?

- Uważałem, ale to chłopstwo nie wydaje mi się znów tak dzikim.

- O! Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości, dość spojrzeć na nich, na ich skołtunione głowy. Ale mniejsza o to. Chłopstwo to dlatego generał-lejtnant Freiherr von Egerman spędzić kazał, żeby ponaprawiało mury i pokopało fosy koło Sandomierza, bo przyszedł rozkaz z Wiednia żeby z tego miasta zrobić pierwszorzędną fortecę.

- Hm! - odrzekł na to Kubuś. - Tak wszędzie zwyciężacie, Napoleona macie w kajdanach przywieźć do Wiednia, księcia Józefa do twierdzy, a z Sandomierza chcecie robić fortecę. Na co, przeciw komu?

- Już ja tam nie wiem, dlaczego. Ojciec mój powiada, że będzie to mocne więzienie dla polskich buntowników. Ale tu nie o to idzie. Wczoraj, wyobraź sobie, na urwisku, od strony Wisły, gdy Freiherr von Egerman oglądał zrujnowany klasztor i kościół, które niegdyś, ponoć, zbudowali jezuici, i kazał tam kopać fundamenta pod mury forteczne, natrafiono na straszne lochy, na ogromne podziemia, ciągnące się Bóg wie jak daleko.

- O! To nie nowina! - zawołał Kubuś. - Wszyscy w Sandomierzu wiedzą o tych lochach, jak je nazywasz, a które są po prostu rozległymi piwnicami. Nawet gadają ludzie, że jezuici zakopali tam znaczne skarby. Ale ja w to nie wierzę. U nas zawsze po starych murach i starych dziurach mają się ukrywać niebywałe skarby.

- Otóż, mylisz się, Kubku, nie są to piwnice, ale ogromne, ciągnące się daleko podziemia, zakręty, korytarze, głębokie i ciasne karcery, w których znaleziono całe góry kości ludzkich, tułowia i kościotrupy stojące, nawet kobiece... wyobraź sobie... kobiece!

- Więc coś z tego? Coś ty przypuszczasz?

- Ja nic nie przypuszczam, bom tego jeszcze nie oglądał. Ale ojciec mój twierdzi, że te szkielety męskie i kobiece to nieszczęśliwi więźniowie jezuitów, że są to nieczne ślady intryg jezuickich, że w tych norach podziemnych może niejeden ojciec kilkorga dzieci o herezję posądzony, niejedna żona nie chcąc wydać męża okrutną śmierć głodową znalazła lub skonała w mękach na torturach.

- Tra la la la!-zaśmiał się Kubuś.-Czytałem ja o takich historiach w Hiszpanii pod panowaniem waszego habsburskiego domu, ale w Polsce, mogę cię zapewnić, nic podobnego nigdy się nie działo. Owe kościotrupy, które tak przerażyły twego ojca, to są ciała nieboszczyków tam pochowanych, bo jak ci wiadomo zapewne, dawniej ludzi grzebano pod kościołami.

- Gdyby tak było, jak ty mówisz, toby przecie były trumny, a tam ich nie ma.

- Bo zbutwiały.
- Zawsze byłyby jakieś ślady, jakieś szczątki, a tam nic nie ma, tylko same szkielety, kościotrupy, trupie czaszki. Nie! To z pewnością tak było, jak mój ojciec powiada, a z tą opinią zgadza się generał-lejtnant Freiherr von Eggerman.
- Co tam generał-lejtnant wie o tym! Zna on to historię polską!
- I wiesz, co ja ci powiem?
- Cóż takiego?
- Jeżeli to nie są nieboszczyki pochowane zwyczajnie pod kościołem, to w takim razie te lochy i te kości są o wiele starsze od przybycia jezuitów do Sandomierza, co nastąpiło dopiero w XVII wieku.
- Nie rozumiem cię.
- Wiedźże o tym, nieuku jakiś, że za panowania króla Leszka Czarnego Tatarzy dwa razy tu gościli, a nawet w 1260 roku wymordowali pięćdziesięciu zakonników w kościele św. Jakuba... Powinieneś wiedzieć o tym, bo przecież nie dawniej jak rok temu papież tych męczenników w poczet błogosławionych policzył.
- A tak, prawda!
- Otóż sandomierzanie, nauczeni tym strasznym przykładem, za panowania króla Leszka Czarnego wykopali trzy ogromne podziemia, z których jedno właśnie zaczynało się tam, gdzie dziś ruiny kościoła pojezuickiego się znajdują, i które miało iść pod Wisłę na tamtą stronę rzeki.
- Skądże ty to wiesz?
- Czytałem o tym w starych kronikach.
- Hm... może być, że te podziemia wykopano tam kiedyś w obawie przed Tatarami, ale skądże kościotrupy? Czyż nie jest to jasne, że jezuici skorzystali z tych lochów, by w nich więzić i torturować nieszczęśliwych heretyków. Tak nazywali oni inaczej wierzących...
- Wszystko to, co mówisz, jest kłamstwem. Wiadomo dobrze, skąd się tam znajdują kości i szkielety. Kiedy w roku 1287 napadli Tatarzy na Sandomierz i ten wyczerpany, pozbawiony żywności miał już ulec, niejaka Halina, kasztelanowa sandomierska, umówiła się z Witkonem, wójtem sandomierskim, i w nocy udała się do obozu tatarskiego, stojącego na górze Salve Regina. Wiesz, gdzie...

- Wiem. Cóż dalej? - pytał zadowolony Ferdzio von Lausitz.

- Tam Halina stanęła przed carzykiem dowodzącym całą tę hordę najeźdźców. Przedstawiła się jako kobieta pragnąca pomścić się na sandomierzanach, którzy jej mieli wiele krzywd wyrządzić, i wyjawiała, że ludność miasta ze wszystkimi bogactwami i kobietami ukryła się w lochu podziemnym, do którego tylko ona jedna może doprowadzić.

- A wiesz, Kubek, że to bardzo ciekawe! I co dalej?

- Pewno, że ciekawe. Właśnie wtedy z rozkazu wójta Witkona pogaszone w mieście wszystkie ognie i tak się uciszono, że zdawało się, jakoby Sandomierz stał się martwą pustynią. Ta cisza i smutek rozlany na obliczu Haliny tak uwiodły carzyka tatarskiego, że uwierzył jej słowom. Natychmiast zwołał swoich murzów i wydał rozkaz, aby zapalono jarzące, smolne pochodnie. Cała horda pod przewodnictwem kasztelanowej Haliny ruszyła ku owym podziemiom i weszła w nie. Gdy już ostatni Tatarzyn, wiedziony chęcią łupu i bramek, zniknął w podziemiach, Witkon ukryty z garstką rycerstwa wypadł, ogromnymi głazami zawałił wejście od lochów i tym sposobem pogrzebał w nich hordę najeźdźców.

- A co się stało z kasztelanową Haliną?

- Nie wiadomo. Oczywiście, zginęła w lochach, zapewne od mieczów mściwych Tatarów, ale tym sposobem własnym życiem okupiła życie swych współmieszkańców. Taką szczytną ofiarość można tylko znaleźć w historii polskiej, o której nie znający rzeczy nieprzyjaciele nasi tyle głupich bajek plotą.

- Dziwne, dziwne! - powtarzał zamyślony Ferdzio von Lausitz.

- Te trupy, szkielety, kości, które dziś odkryto w podziemiach koło klasztoru Jezuitów, nie są więc ofiarami fanatyzmu, jak twierdzi mądry generał-lejtnant von Egerman, ale zapewne szczątkami Tatarów, których tam przed sześciu blisko wiekami pogrzebała dzielna kasztelanowa Halina.

- Tak, to może być, ale skądże się tam znajdują szkielety kobiece?

- Najprzód nie wiem, czy tam jest dużo szkieletów kobiecych, może tylko jeden, a w takim razie są to szczątki bohaterskiej Haliny.

- Jeżeli jest jeden, a jeśli ich jest więcej?

- I na to można znaleźć odpowiedź. Wiadomo przecież, że Tatarzy po drodze rabowali wszystko, mężczyzn zabijali, a kobiety brali w jasyr. Jeżeli tam jest więcej szkieletów kobiecych, to są to szczątki nie-szczęśliwych branek pogańskich. - Hm! Wszystko pięknie wytłumaczyłeś, Kubku... Ani słowa, mogło tak być, ale ja myślę, że cała ta historia jest bajką, jest piękną legendą wymyśloną przez starych kronikarzy. W waszej historii jest mnóstwo takich bajek, na przykład o smoku pod Krakowem, o Krakusie i Wandzie, o myszach Popiela o kołodzieju Piaście.

- W każdej legendzie, mój Ferdziu, jest cząstka prawdy. Ale historii o kasztelanowej Halinie nie trzeba mieszać z podaniami o smoku i Krakusie, o Popiciu i myszach. Te ostatnie wypadki miały się dziać w czasach bardzo odległych, w nieoznaczonej epoce, podczas gdy historia Haliny stała się w roku 1287, to jest w czasach, gdy ludzie spisywali już kroniki. Tamte zdarzenia noszą charakter nadzwyczajny, nadprzyrodzony, boć przecież wiemy, że smoków nie ma na świecie, że siarka w brzuchu potwora palić się nie mogła, że z ciał ludzkich nie mogą wylęgać się myszy, ani też zagryzać ludzi. Tymczasem w historii kasztelanowej Haliny nie ma nic nadzwyczajnego, nadprzyrodzonego, jest tylko bohaterstwo i poświęcenie dla ojczyzny. Fakt więc ten nie jest niemożliwy, a zapisany przez współczesnych niewątpliwie jest prawdziwy.

- Wiesz, gdym się od ojca dowiedział o tych kościotrupach, byłem bardzo ciekawy je zobaczyć, choć wahałem się czy pójść, bo tam musi być bardzo brudno, a ja włożyłem na siebie nowe ubranie. Ale teraz pójdę... zum Teufel, w nowym ubraniu! Cóż, pójdiesz ze mną? Przecież to bardzo ciekawe zobaczyć kości ludzi, którzy przed sześciuset laty umarli, jeżeli w rzeczy samej jest to prawdą, coś powiedział. A nuż to są szczątki ofiar wymordowanych przez jezuitów, jak utrzymuje mój ojciec?

- To zobaczymy. Idę z tobą. Jeżeli to są szczątki ofiar jezuickich, to powinny być przy nich łańcuchy, okowy i tym podobne narzędzia męczeńskie, bo przecież wiadomo, że dawniej u nas nikogo nie wsadzano do więzień bez oków, jak to wy jeszcze dziś robicie z waszymi więź-

niami. Chodźmy, i pewien jestem, że się przekonasz, iż to co mądry generał-lejtnant von Eggerman powiada, jest wierutną bajką.

Ruszyli więc co żywo w kierunku ruin dawnego kościoła i klasztoru Jezuitów. Wszędzie dokoła miasta tłumy spędzonych z okolicy więźniaków pracowały pod nadzorem oficerów austriackich nad naprawianiem starych murów i okopów, choć to była niedziela. Ale rząd Jego Apostolskiej Mości nie zwracał na to uwagi, a kij kaprałów i oficerów napędzał opornych do ciężkiej pracy.

Widok ten przykre uczucie wzbudził w Kubusiu, wrzała w nim krew, ale musiał milczeć, bo wiedział, że nic na to poradzić nie jest w stanie.

ROZDZIAŁ II

w którym Kubuś jest podejrzany, że otrzymał zły stopień z geografii

Do podziemi, o których Ferdzio von Lausitz opowiadał, nikogo nie wpuszczano, jemu zaś jako synowi wysokiego dygnitarza dano wolny wstęp. Kapral, który z kijem w ręku pilnował nieszczęśliwych chłopów polskich spędzonych do robót koło fortyfikacji miasta, ujrawszy Ferdzia, kłaniał mu się z wielkim uszanowaniem, z czego on był bardzo dumny i, spoglądając z boku na Kubusia, zdawał się mówić:

- Widzisz, co ja znaczę!

Piwnice, do których obaj chłopcy weszli, zrazu nic godnego uwagi nie przedstawiały. Były to puste, sklepione mocno lochy, z których przeszli do długiego, wąskiego korytarza, a stąd dopiero do obszerne- go podziemia, przedstawiającego okropny widok. Była to istna kostnica. Przy słabym blasku, przedostającym się przez dwa zakratowane okienka, bardzo wysoko umieszczone, ujrzeli najprzód oparty o mur cały szereg szkieletów. Stały one w najrozmaitszych pozycjach. Jedne z czaszkami do góry podniesionymi zdawały się czarnymi oczodołami szukać powietrza i słońca; inne z rękami opuszczonymi, z głową na piersi przedstawiły smutny obraz, jeszcze inne miały ręce rozpostarte wzdłuż ściany, jakby się jej czepiały w jakimś rozpaczliwym wysiłku. Były też takie, które dziwnie podnosiły nogę, jakby chciały wykonać skok przez jakąś przeszkodę. Były takie, które wyciągnawszy naprzód szkieletowe dłonie chciały coś lub kogoś chwycić w swe objęcia. Zgroza przejmowała, gdy się patrzyło na ten okropny widok. Posadzka podziemia zarzucona była całą górą czaszek, piszczeli ludzkich, rąk odpadłych od ciała, kości wszelkiego rodzaju oraz pyłem powstałym

zapewne ze zgniłych i przez wieki wysuszonych ciał ludzkich. Obaj chłopcy na ten widok, przypominający marność istnienia człowieczego, skamienieli tajemną trwogą przejęci. Trwoga ta zmieniała się w paniczny strach, gdy nagle ni stąd, ni zowąd jeden ze szkieletów opartych o ścianę poruszył się. Coś czarnego, ruchliwego wysunęło się z jego czaszki i z piskiem zanurzyło się w stosie kości leżących na ziemi, sam zaś szkielet z trzaskiem i głuchym chrzęstem runął na ziemię i prawie w pył się rozsypał. Podniosła się przy tym cała chmura duszącego kurzu, aż Ferdzio przerażony krzyknął:

- Ach, Herr Je! - i schował się za Kubusia, czepiając się rozpaczliwie jego ramion, jakby szukał zastłony i pomocy.

Kubuś nie mniej był przestraszony, ale nie cofnął kroku. Oprzytomniał w jednej chwili i rzekł spokojnym, choć nieco drżącym głosem:

- Czego się boisz? To pewno szczury.

W tejże chwili stos kości na posadzce począł się także ruszać, chrzęścić, czaszki przewracały się i jakiś piszczał z dziwnym łoskotem potoczył się pod same nogi Kubusia, który cofnął się nieco z niemiłym uczuciem obrzydzenia. A że powietrze duszne w tym zamkniętym podziemiu stało się teraz wskutek upadku szkieletu prawie niemożliwe do oddychania, więc rzekł:

- Chodźmy stąd, bo się udusimy. Słabo mi się robi.

Co żywo więc zawrócili, przebiegli prawie pędem przez korytarz i pierwsze piwnice. Bardzo byli radzi, gdy się znaleźli na świeżym powietrzu, na jasnym dniu, pod złocistymi blaskami słońca majowego. Wciągali w płuca rześkie powietrze, a Ferdzio błady jak ściana tak się uczuł osłabiony, że usiadł na jakimś złomie muru i rzekł:

- Za nic w świecie drugi raz bym tam nie poszedł.

- Zapewne - odparł Kubuś - nie ma tam po co chodzić. Nic ciekawego, a powietrze strasznie jest zepsute. Można się nabawić choroby. Cóż, lepiej ci?

- Lepiej, ale jeszcze muszę sobie trochę odpocząć. Licho nadało, żeśmy tam poszli. Po nocach będą mi się śnić szkielety.

- Widzę, że jesteś trochę tchórzem podszyty.

- Nie, a zresztą przyznaj, że i ty się przeraziłeś, gdy ten kościotrup runął spod ściany. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu to się stało.

- Z bardzo naturalnego. W tych podziemiach jest mnóstwo szczurów, jeden z nich nieuważnie trącił szkielet i ten upadł. Przecież nie przypuszczasz chyba, że kościotrup chciał nas stamtąd wygnać.

Ferdzio zamyślił się i po chwili rzekł:

- Zapewne, że to tak było. A nawet widziałem, jak z czaszki coś czarnego i ruchliwego wyskoczyło.

- W czaszce tej mieści się niewątpliwie gniazdo szczurze. Może to był szkielet jakiegoś znanego murzy tatarskiego. Na co mu to przyszło, teraz w jego głowie szczury się gnieźdzą!

- Więc ty naprawdę przypuszczasz, że to są szczątki Tatarów, zwabionych do lochu przez ową kasztelanową Halinę?

- Oczywiście, że tak. Skądże wzięłaby się taka ogromna masa szkieletów i kości? Przecież widziałeś ich postawy rozpaczliwe; widocznie umierali w strasznych męczarniach głodu. Tak, ja jestem pewien, że to są szczątki Tatarów pogrzebanych w tych podziemiach.

Ale Ferdzio nie zgadzał się z tym. Jemu w głowie ćwiekiem utkwiło przypuszczenie generała-lejtnanta von Egermana i ojca, radcy stanu, że w tych podziemiach kryją się ofiary zbrodni i intryg jezuickich, a skoro generał-lejtnant i wysoki hofrat tak twierdzą, to niegodną jest rzeczą wiernego poddanego Jego Cesarsko-Królewskiej Apostolskiej Mości inaczej utrzymywać. Świadczyłoby to bowiem o buntowniczym usposobieniu. Kubuś słuchał tego, ale nic się nie odzywał, bo na co by zdało się przekonywać kogoś, kto nie chce być przekonany. Stał więc w milczeniu i przypatrywał się ciężkiej pracy nieszczęśliwych chłopów polskich, spędzonych tutaj pod kijem kaprała. Zauważył więc, że mur otaczający Sandomierz w tym miejscu był prawie wszędzie zrujnowany, niski, pełen wyłomów i zapewne generalicja austriacka uznała go za niemożliwy do naprawienia, bo zostawiła go w spokoju, a natomiast o kilkanaście kroków dalej kazała sypać wysoki szaniec, nad którym właśnie pracowali spędzeni chłopci. Tymczasem Ferdzio przyszedł do siebie zupełnie i obaj chłopcy ruszyli z powrotem do miasta.

Przez drogę ten kryjący się niedawno w podziemiu za plecami Kubusia bohater szwarcgelberowski teraz, w świetle dnia, wobec kręcących się wszędzie żołdaków austriackich nabrał szczególnego animuszu i począł niestworzone rzeczy prawić o jezuitach, o dawnym rządzie polskim, o polskim nieładzie i chytrości. A wreszcie o błogim porządku, jaki w tym kraju zaprowadziła dobroczynna władza Jego Cesarsko-Królewskiej Apostolskiej Mości.

- Zgnilibyście w smrodzie i brudzie - kończył - gdyby nie nasz rząd. On was cywilizuje, on was uczy, jak żyć, chociaż naprawdę żyć nie możecie, boście stoczeni do szpiku kości przez trąd zepsucia i nieładu. Kubuś, słysząc te zuchwałe słowa, zatrzymał się cały dygoczący od gniewu i rzekł:

- Wiesz, szpiclu, żeś ty strasznie głupi!

- Szpicel? Jak śmiesz mnie nazywać szpiclem?

- Bo jesteś nim!

- Tak? Czekajże! Ja ci tego nie daruję, ja powiem ojcu. Zgnijesz tam w podziemiach, ty polska świno!

W tejże chwili rozległ się głośny policzek, Ferdzio zatoczył się jak pijany, furażerka mu spadła z głowy i oburącz chwycił się za twarz mocno zaczerwienioną. Kubuś zaś zły na siebie, że dał się unieść gniewowi, zawrócił spokojnie i poszedł na ulicę Opatowską, przy której mieszkali państwo Białkowscy ze swą córką Jadzią, bo było już blisko południa, a tam dawnym zwyczajem polskim punktualnie siadano do stołu. Przez krótką tę drogę zdołał Kubuś opanować wzburzenie i jak zwykle spokojny, uśmiechnięty wszedł do saloniku kuzynów Białkowskich. Tu, będąc już we drzwiach, przypomniał sobie, że wśród przygód tego dnia zapomniał zupełnie o tym, że z panną Jadzią gra w zielone i że nie ma przy sobie ani świeżej gałązki bzu, ani paru listków koniczyzny, i oczywiście stanowczo przegrał zakład. Jakoż panna Jadzia, ubrana w krótką jasną sukienkę, mając złociste włosy związane w kosę, spadającą z tyłu aż do pasa, podbiegła żwawo do Kubusia, wołając z daleka:

- Zielone! Zielone! Prędko! Prędko!

Kubuś nieco skonfundowany, ale uśmiechnięty, wydobył zza muniurki garść zwiędniętych, zeschłych, pokruszonych liści i pokazał pannie Jadzi z miną zabawną. Ta oburzyła się.

- To ma być zielone? To się u kuzyna nazywa zielone, te śmiecie?
- Ale one były zielone i jeszcze są zielone. Proszę patrzeć.
- A ja proszę się nie wykręcać. Przegrałeś, kuzynku, i musisz teraz zapłacić, jakeśmy się umówili.

- Nie wiem naprawdę, jakeśmy się umówili, ale co do zapłaty... to będzie ciężko, bo u mnie kabza pusta jak Sahara.

- Także porównanie! Widocznie kuzynek dostałeś zły stopień z geografii, skoro ci Sahara tak utkwiała w głowie. Ale tu wcale nie idzie o pieniądze. Musi kuzynek zrobić teraz to, co ja będę chciała.

- A cóż kuzynka będzie chciała?

- To się pokaże, tyle tylko powiem, że trzeba żebyś kuzynek opuścił Sandomierz.

Kubuś zrobił poważną minę, westchnął i rzekł:

- I bez rozkazu kuzynki będę musiał to zrobić.

Twarc jego młoda miała taki wyraz, że panna Jadzia przestraszyła się i zawołała:

- Jak kuzynek to dziwnie powiedział! Mój Boże, cóż się stało?

- Stało się coś takiego, że jeżeli dziś jeszcze nie ucieknę z Sandomierza, to mię Austriaki okują w kajdany i zapakują do kozy.

Właśnie w tej chwili wszedł do saloniku pan Białkowski i, usłyszawszy ostatnie słowa Kubusia, zawołał:

- Jak się masz, chłopcze? Cóż to takiego? Dlaczegoż to Austriaki mają cię wsadzić do kozy?

Kubuś zrazu nie chciał powiedzieć, zbywał półsłówkami, twierdził, że żartował, że to nic ważnego, ale przyciśnięty do muru przyznał się do awantury, jaką miał z Ferdziem von Lausitzem, zwanym pospolicie szpiclem. Pan Białkowski, mąż poważny z dużym, siwym wąsem, ubrany w kontusz karmazynowy i żółte buty, usiadł w karle, dobył tabakierki z zanadru, uderzył w nią palcami, zażył potężny niuch, strzepnął ręką z kontusza rozsypany proszek, kichnął głośno mówiąc: dziękuję aspaństwu, choć oboje dzieci zajęte swymi myślami nie winowały mu wcale. Wytarł nos kraciatą czerwoną chustką i rzekł:

- Hm! Mówię aspanu, że źle, bardzo źle. Po jakiego kaduka wdajesz się aspan z taką kanalią jak ten Lausitz?

- Wdawać to się z nim, szczerze mówiąc, nie wdaję, ale dziś zaciekał mię tymi kościotrupami i poszedłem z nim.

- Bardzo lekkomyślnie to aspan zrobiłeś. Ale może on ojcu nie powie, żeś go aspan szpetnie spostonował onym policzkiem?

- O! Co do tego nie ma żadnej wątpliwości, że powie. Nieraz to już zrobił i kilku kolegów naszych mocno z tego powodu ucierpiało.

- Hm! Kanalia to widzę jest ostatnia. Hm! Nie ma co, musisz aspan uciekać. źle to jest, bo lepiej nauki kończyć, wiadomo czego się człowiek za młodu nauczy, to na starość znalazł. Gdybyś aspan miał rodzićów, to byłoby najlepiej pod ich skrzydło się schronić do czasu, ażby się rzecz utarła. Cóż tedy aspan myślisz zrobić? Chcesz uciekać - to dobrze, ale dokąd?

- Ucieknę do Księstwa Warszawskiego i wstąpię do wojska polskiego.

- Ba, łatwo to powiedzieć, wstąpię do wojska. Przyjmą to aspana? Smyk jeszcze jesteś. Ile masz lat?

- Szesnaście skończę na święty Jakub.

- Hm! Może i przyjmą. Sam widziałem takich młokosów w wojsku, jakem był dwa lata temu w Warszawie. Ale to przecie teraz wojna!

- O, tatuńciu! - wtrąciła się panna Jadzia. - Kuzynek Kubek (bo i panna Jadzia Kubkiem go nazywała) jest mężny i nie boi się wojny.

- A aspanna skąd o tym wiesz? Patrzcie no ją! Kuzynek Kubek jest mężny. Co to znaczy - Kubek? Cicho bądź, dzierlatko! Aspanna się nie odzywaj, kiedy starsi mówią. Panna Jadzia raczka spiekła, cofnęła się zawstydzona pod okno, a pan Białkowski mówił:

- Nie potrzebujesz asan daleko szukać tego wojska, co się szczęśliwie składa.

Właśnie był tu u mnie dzisiaj rano pewien Żyd zza Wisły, z Lubelskiego, i radosne, rzecz można, przywiózł mi wiadomości. Imaginuj sobie aspan, że nasz dzielny książę Józef potłukł Austriaków pod Górą na zrazy, wszędzie ich bije, jest już w Lublinie, oblega Zamość i ma wyruszyć pod Sandomierz, żeby go zdobyć. Będzie to srogi przelew krwi, zniszczą nasze fortuny, spalą nam domy, ale to mniejsza, dla ojczyzny trzeba ponieść takie ofiary.

Kubuś, słuchając tych wieści, cały promieniał ze szczęścia. Więc nasi biją tych szwarcgelberów? Więc wszystkie ich przechwałki, ogłaszane przez drukowane plakaty, jakoby zawojowali już całe Księstwo Warszawskie, są niegodnym fałszem? Jakież to szczęście! O, jakże pragnął Kubuś jak najprędzej znaleźć się w szeregach walczących wojowników polskich, jak mu dusza darła się do sztandarów i orłów ojczystych! Więc pod Sandomierz przyjdą, aby go zdobyć! O! On wie, którędy najłatwiej będzie do niego się dostać. Tam koło ruin jezuickich mur ma zaledwie łokieć wysokości i tak jest zrujnowany, że dość nogą kopnąć, by się rozleciał. Wprawdzie Austriacy rękami chłopów polskich sypią tam wysoki szaniec, ale przecie nasi przyjdą prędzej, nim ten szaniec będzie gotowy. O! Wielki Boże, na koniec wejrzałeś na nieszczęśliwą Polskę i dni szczęścia i radości jej dajesz. Tak sobie Kubuś myślał, a tymczasem pan Białkowski dalej mówił:

- Zostaniesz asan u mnie do nocy, szukać cię tu przecie nie będą, a gdyby szukali, to cię kobiety dobrze ukryją.

W tejże chwili panna Jadzia wysunęła się spod okna i cała zarumieniona zawołała:

- Tatuńciu, ukryjemy kuzynka w garderobie!

I poczęła klaskać w ręce i tańczyć po salce, wołając:

- W garderobie! W garderobie! Tam kuzynka nie znajda! O! Niech sobie szukają, figę znajdą!

I złożwszy paluszki, pokazała figę, nie wiadomo komu, prawdopodobnie Austriakom, którzy oczywiście tego nie widzieli.

Pan Białkowski patrzył na swą córkę i milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

- A to koza! Będiesz mi ty, dziecisko, cicho? W garderobie kuzynka ukryją! Jaka mi mądra! Cicho bądź, aspanna, do paralusza!

Panna Jadzia przestała skakać po sali, raczka znowu spiekła i jak przedtem ukryła się zawstydzona we wgłębieniu, a pan Białkowski udając gniew mówił:

- Skaranie boskie z tą dziewczyną!

Wreszcie uspokoiło się wszystko, więc ciągnął dalej:

- Zostaniesz tedy aspan u mnie do nocy. Ja tymczasem po obiedzie pošlę mego Jędrzeja do rybaka nad Wisłę, Kociubski się zowie. Znam go od dawna, jeszcze z czasów insurekcji, kiedyśmy to z panem Kościuszką, naczelnikiem, wojowali. Kociubski jest człek godny, patriota gorący, i co ja mu powiem, to zrobi. On aspana nocą przewiezie przez Wisłę w Lubelskie, tam są nasi wojacy, i już sobie aspan radź, jak będziesz umiał. Rozumiesz?

- Rozumiem i dziękuję serdecznie wujaszкови dobrodziejowi. Nazywał Kubuś pana Białkowskiego wujaszkiem, choć prawdę rzekłszy - ten nie był nim. Pokrewieństwo było dalekie, ale przez grzeczność wypadło tak nazywać starego kościuszkowskiego wojownika. Ucałował potem ręce pana Białkowskiego, a on gadał:

- No, już dobrze, dobrze. Pewien jestem, że nam wstydu nie zrobisz i będziesz się bił, jak przystoi na Polaka. A maszże pieniądze?

Panna Jadzia znów wyskoczyła na środek salki i zawołała:

- Kabza kuzynka jest pusta jak Sahara!

Prawdopodobnie byłaby ostro zgromiona przez ojca za to niewczesne odezwanie się, gdyby nie weszła do pokoju pani Białkowska i nie oznajmiła, że waza z rosołem i makaronem jest już na stole. Kubuś przyskoczył do rąk wujenki, a panna Jadzia nie wiadomo dlaczego rzuciła się na szyję matce i coś jej szeptać do ucha poczęła; ale już pan Białkowski podniósł się z krzesła i podawszy rękę żonie prowadził ją uroczyście do pokoju stołowego.

ROZDZIAŁ III

*w którym panna Jadzia oświadczyła, że życzy sobie,
aby Kubuś wrócił generałem*

Kubuś miał rację twierdząc, że Ferdzio powie ojcu swemu o awanturze i że pan hofrat cesarsko-królewski będzie chciał pomścić się za zniewagę, jaka spotkała jego jedynaczkę. Już nad wieczorem gospodyni, u której na stacji stał Kubek, wiedząc, że państwo Białkowscy są jego krewnymi, przybiegła przerażona i stroskana mocno z wiadomością, że policja u niej była, chcąc zabrać chłopca do więzienia, i że go szukają po całym mieście. Przez ostrożność pan Białkowski odpowiedział jej, że Kubuś dziś wcale nie był w jego domu i nikt nie wie, gdzie się znajduje. Panna Jadzia okropnie się tą wiadomością przestraszyła, aż się rozplakała, ale na szczęście policja do domu na ulicy Opatowskiej nie zajrzała, boby Kubusia tu z pewnością znalazła, gdyż proponowana przez pannę Jadzię skrytka w garderobie nie była żadną skrytką. Pani Białkowska tylko dla wszelkiego bezpieczeństwa po odwiedzinach gospodyni Kubusia kazała mu się przebrać w suknie kobiece, żeby uchodził za dziewczynę. Było to tym łatwiejsze, że chłopiec nie miał jeszcze wąsów, a owinąwszy głowę chustką, wyglądał na wcale ładną pannę.

Kubuś dość niechętnie wdział na siebie spódnice; nie umiał w niej chodzić i wstydził się, zwłaszcza, że panna Jadzi na widok tak przebranego kuzynka śmiała się do rozpuku, żartowała z niego i kazała mu chodzić; uczyła go, jak ma stawiać drobne kroczki. Nauka ta jednak stanowczo się nie powiodła i panna Jadzia wszystkim oświadczyła z zadasaną miną, że tak niezgrabnej panny, jak kuzynek Kubek, świat